

Przy dworcu znajdował się mały skład złomu. W prowizorycznej budzie, oklejonej tekturą, skorodowaną blachą i innymi odpadkami, gruby mężczyzna katalogował ostatni transport, wyceniał i sprawdzał miejsce w magazynie. Można powiedzieć, że była to pewnego rodzaju enklawa. Gdzieś obok, śpiesznym krokiem podążali studenci, robotnicy, bezrobotni i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Ludwik lubił swoją pracę. Każdego ranka, nabijał starą fajkę aromatyzowanym tytoniem i rozsiadał się wygodnie na zardzewiałym, pielgrzymkowym krześle, ledwo mieszczącym pokaźne gabaryty właściciela.

Główny bohater tej krótkiej historii, puszczał co jakiś czas masywne kłęby dymu i w nostalgicznej zadumie spoglądał na dorodne owoce jarzębiny. O dziwo, podczas modernizacji dworca, nikt nie wpadł na pomysł wykarczowania drzewa. Charakterystyczny punkt w krajobrazie siemieżnej stacji kolejowej, przyciągał amatorów taniego wina, handlarzy narkotyków, ale także zakochanych. Można powiedzieć, że był to jeden z nielicznych przypadków, gdzie pogodzone konflikty interesów różnych grup społecznych. Zawsze było tam czysto, nikt nie zostawiał butelek ani innych śladów zbrodni. Nie byłoby w tym znowu nic takiego dziwnego, przecież ludzie intuicyjnie dostrzegają estetyczne piękno, a potem przez plotkę, polecenie, zapamiętują lokalizację gdzie miło się spotkać, porozmawiać. Jeśli mają do tego jeszcze na tyle wyobraźni, nie zostawią po sobie chlewu, bo dobrze wiedzą, że nieraz wrócą w to miejsce. Ludwik wiedział więcej. Ale swoją wiedzę się nie chwalił. Mimowolnie, właśnie dzisiaj, podczas codziennego ceremoniału palenia, przypominała mu się pewna opowieść. Z głębokiej zadumy wyrwał go dławiący ryk silnika.

Na teren zakładu wjechał ledwo zipiący ford z przyczepą. Zza szyby wychylił się chuderlawy mężczyzna.

— Panie Ludwiku, mamy trochę starych okiennic — powiedział chrypliwym, suchotniczym głosem.

— I na co mi to?

— Czyli mam wyrzucić do lasu, he? — uśmiechnął się kąśliwie.

— Dobra, dobra. Rozładujcie ten szmelc. Kawy jakiejś wam zaparzyć?

— Chętnie się napijemy.

Kierowca wraz z młodym pomocnikiem odbezpieczyli pasy spinające towar i zaczęli ślamazarnie rozładowywać zbytek. Ludwik znał tę dwójkę. Zbyszek był właścicielem małej firmy montażowej, a za pomocnika robił jego syn, który ledwo skończył zawodówkę. Zbych zawsze miał problem z utylizacją framug, drzwi, okiennic i tak dalej. W tej kwestii często liczył na pomoc Ludwika.

— Widziałem twojego młodego pod jarzębiną ostatnio — powiedział Ludwik, wychodząc z blaszanymi kubkami mocnej kawy.

— I co tam robił takiego? — Zbyszek odstawił ostatnią ramę okna.

— Palił jakieś mocne papierosy — Ludwik uśmiechnął się pod nosem.

— A to wiem. Dawał mi do spróbowania, ale ja wolę gorzałkę.

Nastąpiła niezręczna cisza. Wszyscy pili w milczeniu gorącą kawę, tylko syn Zbyszka spuścił głowę i wpatrywał się bezmyślnie w ziemię.

— A tobie Lud — zaczął nerwowo Zbyszek i odpalił papierosa — to się tutaj nie nudzi? Mieszkasz w jakiejś obwoźnej przyczepie cyrkowej, czy co to w ogóle jest, pół dnia spędzasz w tej swojej budzie, gdzie katalogujesz to całe gówno. Nawet nie widziałem żebyś się kiedyś spił, może wyskoczmy wieczorem gdzieś na miasto?

Ludwik ścisnął mocno ucho od kubka a jego twarz poczerwieniała.

— Przynoszę ci kawę. Biorę po raz setny twój nic nie wartą towar, który potem zalega mi latami na składzie. Nie pytam się, dlaczego chlejesz jakby się świat miał za chwilę skoczyć. Nie wnikam, dlaczego młody rozprowadza jakieś gówno tym biednym dzieciakom z blokowiska. Więc pozwól, że będę sobie tutaj siedział, robił, co mi się podoba, a ciebie teraz grzecznie poproszę, żebyś stąd spierdalał, razem ze swoim syneczkiem.

— Ale Lud..., nie chciałem cię urazić czy coś, przecież wiesz, że nic do ciebie nie mam.

— Drugi raz nie będę powtarzał.

Ludwik dawno nie czuł się tak fatalnie. Mimo, że Zbyszek był tylko jego klientem i jakoś niespecjalnie zależało mu na głębszych relacjach z tą pijaczną, to zrobiło mu się najzwyczajniej w świecie smutno. Nie wchodził nikomu z ubłoconymi buciorami na dywan, wiedział, że Zbyszek się specjalnie nie przejmie informacją o synie palącym maryskę. Chciał tylko złapać kontakt. Dawno nikt go nie wyprowadził z równowagi. Nie miał nawet ochoty na obiad, a dzisiaj przecież czwartek... tak, czwartek.

Czemu dla Ludwika akurat ten dzień tygodnia jest wyjątkowy? Z tym wiąże się początek naszej opowieści. Ludwik był bardzo bogatym i wpływowym człowiekiem. Dorobił się na szmuglowaniu alkoholu za zachodnią granicę, jeszcze za czasów głębokiej komuny. Niespecjalnie przejmował się tajną policją, partią i tak dalej. Wiedział komu, ile i czym zapłacić, a jego fortuna i status społeczny niebezpiecznie wzrastały. Nie był idiotą. Zza granicy przywoził luksusowy jak na tamte czasy towar i często za grosze, albo całkowicie za darmo rozdawał go mieszkańcom. Jego dom też niespecjalnie się wyróżniał, także lokalna władza nie bardzo miała pomysł jak ową gwiazdeczkę nieco osmolić.

Pewnego dnia, późną porą Ludwik wracał z Krakowa, ze spotkania z narzeczoną. Wsiadł z pociągu, przeszedł kilkanaście metrów i zobaczył pod drzewem Jarzębiny dwoje młodych ludzi. Znał ich dobrze. Matka Joli była szwaczką. Całkiem niedawno wręczył jej w prezencie dwa francuskie szampany z okazji urodzin córki. Młodzi właśnie raczyli się lampką trunku. Ludwik uśmiechnął się pod nosem, już miał zawrócić, gdy zobaczył dwóch agresywnie zachowujących się mężczyzn. Zbliżyli się nieuchronnie w stronę zakochanej pary. Sądząc po ich energicznym, slalomicznym chodzie byli mocno odurzeni alkoholem.

— Ale co to za picie tutaj. I to jeszcze co my tutaj pijemy obywatele?! Szampan! Patrzcie ich. To my tu na ciężkiej służbie, chronimy waszych rodziców, naród, i nie stać nas na takie rarytasy!

— Dokumenty, kurwa! Dokumenty! Zaraz pójdziecie na dołek za kontrabandę, czy jakoś tak.

Chłopak Joli był roztrzęsiony, nagle z nerwów upuścił butelkę z szampanem.

— No i patrz go, rozbił butelkę, wandal. A może ta młódka by nam umiliła towarzystwo? Chłoptasia zostaw panienko, to mu nic nie zrobimy. Mówiąc to, ścisnął mocno milicyjną, gumową pałkę.

Ludwik nie czekając na dalszy rozwój sytuacji, podszedł do funkcjonariuszy milicji.

— Znam tych państwo, czy jest jakiś problem władzo?

Milicjanci wyraźnie zbici z tropu spojrzeli na nieznanego.

— Nie, nie, nie ma żadnego problemu — powiedział wyższy. Drugi wyraźnie zdziwiony wydawał się do końca nie wierzyć w to, co mówi jego kolega.

— Butelka się stłukła, trudno. Proszę to tylko posprzątać.

Poklepał niższego po plecach.

— Chodź Tomek, Agawa jeszcze otwarta to się napijemy po służbie.

— Pół litra wyborowej i czerwone Marlboro.

Sprzedawczyni nieco skonfundowana, bo dobrze znała Ludwika, podała w milczeniu zamówienie.

Zamknął kantorek na kłódkę i bez skrepowania przeszedł przez tory. Usiadł pod Jarzębiną. Pociągnął łyk alkoholu prosto z butelki, nie bawiąc się w kieliszkowe ceregiele. Jakiś pociąg wjechał na dworzec. Jacyś ludzie wysiedli. Ludwik ich nie widział. Myśłami był gdzie indziej. Patrzył nieobecny wzrokiem w niebo, a po jego policzkach pociekły łzy.

Musimy teraz mocniej chwycić za ster tego opowiadania, bo nasz biedny bohater nie może wszystkiego pamiętać. Wydawać by się mogło, że historia napastliwych stróżów prawa skończyła się nad wyraz optymistycznie. Nic bardziej mylnego. Nawet Ludwik przeczuwał, że coś jest nie tak. Milicjanci czekali w podziemnym przejściu pomiędzy peronami. Bez pardonu rzucili się na niego i zaczęli okładać brutalnie pałami. Próbował się bronić, ale nie miało to większego sensu. Jedyne, co mógł zrobić to zasłaniać najbardziej newralgiczne części ciała.

Ludwik kojarzył jeszcze na tyle, że czuł jak go wlekli po schodach. Starał się unosić głowę, żeby nie uderzała o beton... Co kilka stopni robili przystanki i kopali go jak psa. Potem skuli ręce kajdankami. Klęczał przypięty do drzewa, tego samego gdzie przed chwilą zakochana para popijała szampana i szeptała sobie czułe słowa. Polali Ludwika wódką i bawili się zapałkami. Teraz już wiecie dlaczego ma wstręt do alkoholu.

Całkiem przypadkowo, szeregowi milicjanci przysłużyli się władzy ludowej. Ludwik długo leczył się z demencji pourazowej. Po kilku latach wyszedł ze szpitala. Odcinał się od rodziny, znajomych. Nie wiadomo do końca czy zrobił to bardziej świadomie, czy może nie do końca. Najbardziej zabolą go sytuacja, kiedy w szpitalu w odwiedziny przyszła piękna kobieta. Przedstawiła się, jako jego narzeczona. Nie pamiętał jej.

Pamiętał zapach niedojrzałej miłości. Wracał tam. Pod Jarzębinę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wiktor Orzel, dodano 03.11.2012 19:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.